

Wiesław Barczyk  
Warszawa

## Maurycy Gosławski<sup>1</sup>

Umieszczenie na okładce 50 numeru Biuletynu "Głosy Podolan" pierwszej strofy wiersza *Gdyby orłem być...* oraz zacytowanie jej w kazaniu ks. prałata Janusza Popławskiego podczas mszy św. odprawianej w intencji żyjących i zmarłych członków Klubu "Podole" w dniu 8 stycznia 2002 r., sprowokowało mnie do przypomnienia go w całości oraz przedstawienia w zarysie życiorysu jego autora - żołnierza-poety.

Maurycy Gosławski urodził się 5 października 1802 roku we Frampolu koło Biłgoraja w ubogiej szlacheckiej rodzinie. Był synem dzierżawcy, a następnie rządcy dóbr na Podolu. Matką jego była Franciszka z Popielów. Do szkół chodził w Winnicy, Kamieńcu Podolskim, a następnie do Liceum Krzemienieckiego. Po ukończeniu liceum pracował jako nauczyciel prywatny w kilku domach ziemiańskich na Podolu. W latach 1825 -1826 pracował w Kodyszówce u p. Michalskich, gdzie zakochał się z wzajemnością w córce gospodarzy, ale został odtrącony przez rodziców panny.

W roku 1827 przeniósł się do Warszawy. Został urzędnikiem w kancelarii Wielkiego księcia Konstantego.

Debiutował jako poeta w roku 1828, publikując w Dzienniku Warszawskim poematy "Urojenia" i "Leszek". W tym też roku zaciągnął się do służby w kancelarii sztabu gen. Iwana Dybicza i brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej. W 1830 roku zdezerterował z wojska rosyjskiego. Był uczestnikiem powstania listopadowego. Służył jako porucznik w Legii Pieszej Litewsko-Ruskiej w dywizjonie ułanów podolskich. Po upadku powstania działał konspiracyjnie w Galicji, pod przybranym nazwiskiem - Jasiński. Aresztowany, uwięziony w Zaleszczykach, został następnie przeniesiony do więzienia w Stanisławowie, gdzie zmarł na tyfus 17 listopada 1834 roku.

W 1875 roku na cmentarzu w Stanisławowie nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika z napisem: *Śp. Maurycemu Gosławskiemu, żołnierzowi-poecie*. Zacytowany poniżej wiersz popularny na Kresach pt.: - "Dumka", znany także pod tytułem "Dumka Żołnierska", jest fragmentem większego utworu literackiego pt.: "Odstępca albo renegat. Fantazja."

---

<sup>1</sup>Opracowano na podstawie mat. archiwalnych: "Pisarze polscy" i mat publikowanych: "Dawni pisarze polscy" WSiP - Warszawa 2000.

## Dumka

Gdyby orłem być!  
 Lot sokoła mieć!  
 Lotem orłem lub sokolem  
 Unosić się nad Podolem,  
 Tamtym życiem żyć.

Droga ziemia ta,  
 Myśl ją moja zna!  
 Tam największe szczęście moje,  
 Tam najpierwsze niepokoje,  
 Tam najpierwsza łza!

Tam bym noc i dzień,  
 Jak zakłęty cień  
 Krążył nad nią jak wspomnienie,  
 Pierś orzeźwiał, czerpał tchnienie  
 Z tamtych lubych tchnień!

Gdyby gwiazdką być!  
 I w obłokach tkwić;  
 Jasnym okiem w noc majową  
 Nad kochanki mojej głową  
 Do poranka lśnić!

Albo spoza mgły  
 Zsyłać słodkie sny,  
 Jak w jeziorze tle przejrzystym  
 Odbijać się światłem czystym  
 W kropelce jej łzy!

Takbym noc i dzień  
 Jak zakłęty cień,  
 Niewidzialnym patrząc okiem,  
 Zachwycił się jej widokiem,  
 Boże! w gwiazdkę zmień!

Próżno się tych dni  
 Obraz w duszy śni;  
 Zapłacz, luba, gorzkim płaczem  
 Nad kochankiem, nad tułaczem,  
 Co był miłym ci!

Potępieni my!  
 Wspomnieć serce drży;  
 Orły lecą, gwiazdy cieką,  
 Kraj w okowach, ty daleko,  
 A wokoło łzy.

Stanisław Muszyński  
Warszawa

## Mój Czortków muzyczny Cz. IV

Święta Bożego Narodzenia poprzedzały ciekawe przygotowania domowe, realizowane głównie przez Mamusię, niestrudzoną w pomysłowości i efektywności zabiegów, zwłaszcza w dziedzinie kulinarnej.

Ryby przywozili nam rozmaici pośtańcy z okolicznych dworów (nawet z Uściczka n. Dniestrem), których Tatuś - nie wiem dla czego - przepędzał ze schodów, ale Mamusia zawsze jakąś część "uratowała". Karpie musiały być smażone na kolację wigilijną, w galarecie na pozostałe dni świąt, a po "żydowsku" dla oczarowania lekarza domowego, dr Andermana. Poza tym musiał być szczupak w galarecie na bardzo długim półmisku oraz małe brązowe liny.

Na słodko były zawsze trzy torty: orzechowy, czekoladowy, prowansalski, a także szereg rozmaitych ciast i ciasteczek.

A choinka (zwana u nas "drzewkiem") musiała być duża, "pod sufit". Ubieraliśmy ją wszyscy w dzień Wigilii. Przed samą wieczerzą Mamusia przebierała się za ... anioła (ze skrzydłami) i pięknie śpiewała -

*Cicha noc, święta noc...*

Potem, przed kolacją wigilijną, do której zasiadaliśmy wszyscy razem z Paranią, musieliśmy uklęknąć twarzami w stronę drzewka. Tatuś odmawiał dziękczynną modlitwę za doczekanie tych świąt, przy której zwykle łamał mu się ze wzruszenia głos. Po życzeniach i przełamaniu się opłatkiem - zasiadaliśmy do stołu. Był czerwony barszcz z uszkami, smażony karp, gołąbki z kaszy gryczanej oraz długo oczekiwana kutia. Potem zapalało się na drzewku prawdziwe świece i "zimne ognie" (fajerwerki). Pachniało świerszczyną i różnymi dymkami, co jeszcze do dziś zapomnieć trudno. Na koniec śpiewało się kolędy.

Był w domu "Śpiewnik pieśni kościelnych i kolęd" ks. Siedleckiego z nutami na dwa głosy i tekstem. Tatuś także był muzyczny, umiał czytać melodię z nut (solfeżem), więc uczył nas śpiewać po kolei wszystkie kolędy. To było naprawdę coś bardzo miłego i niezapomnianego.

Jeszcze jedną atrakcją bożonarodzeniową byli "kolędnicy". W całym okresie świątecznym chodzili z "Szopką" lub poprzebierani za diabły i inne

dziwaczne postacie. Rozpoznawałem wśród nich niekiedy swoich kolegów ze szkoły. Śpiewali, przekręcając słowa:

*Przybieżeli do Betlejem pasterze...*

Na Pasterkę do kościoła o północy nie chodziliśmy, bo po tych wszystkich wrażeniach byliśmy już senni i zmęczeni. Natomiast w każde święto szliśmy na mszę św. o godz. 9-tej gromadnie - rodzice i trójka dzieci odświętnie wystrojona. W kościele "grzmiały" organy, dymiły kadzidła i cały naród śpiewał głośno:

*Gdy się Chrystus rodzi...*

W pierwszy dzień świąt tradycyjnie gościliśmy w naszym domu państwa Dobruckich. U nas atrakcją były przede wszystkim wszelkie ryby, "cytrynówka" Mamusi i torty. Po "uczcie" nasi ojcowie zabawiali się zwykle wspomnieniami z młodzieńczych lat oraz dowcipami z czasów niezapomnianej "nieboszczki" Austrii. Drugiego dnia świąt "chodziło się w goście" do państwa Dobruckich, gdzie również były rewelacje, z których najbardziej utkwił mi w pamięci koncert pani Anieli na cytrze.

W późniejszych latach, kiedy urządzono Jankowi pokój na poddaszu, dzieciom urządzano tam oddzielny stół "młodzieżowy".

Nasi sąsiedzi Ukraińcy obchodzili swoje Boże Narodzenie - Rizdwo - dwa tygodnie po naszym. My osobiście takich bliskich znajomych w Czortkowie nie mieliśmy, ale z uwagi na wielość tego zjawiska i jego bliskość, było się świadkami ich przygotowań, słyszało kolędników i szopkarzy, którzy przez pomyłkę przychodzili i do nas na piąterko. Łącznie z Wigilią, słyszało się przez cztery dni świąt kolędę:

*Boh predwicznyj nam narodywsia...*

Takie to było wtedy wszystko swojskie, naturalne, zwyczajne...

Także święta Wielkanocne były nieodłączną domeną naszej niespożytej Mamy, chociaż o nieco innym charakterze.

Początkowo, zgodnie z dawną tradycją wyniesioną z domu rodzinnego Mamusi, stół wielkanocny święciło się w domu; dlatego wszystkie jego elementy musiały być w domu przygotowane. Odpowiednio wcześniej kupowało się więc całą wieprzową szynkę, którą peklowało się w ogromnym garze, a potem wiozło do wędzenia. W wędliniarni Piechowskiego kupowało się gotowe, lśniące i niezwykle pachnące kiełbasy. Podobnie jak na Boże Narodzenie, przygotowywało się trzy torty i drobne ciasteczka. Dopiero na koniec zostawiało się najważniejszy element wielkanocnego stołu - pieczenie wielkanocnych bab. Była to cała ceremonia, wymagająca nie tylko znajomości rzeczy ale i niezwykłego wysiłku fizycznego. Do dziś nie mogę sobie uzmysłwić, jak Mamusia z tym wszystkim, nawet w młodym wieku, dawała sobie radę.

Według starych przepisów ciasto drożdżowe rozczyniało się z ... kilkunastu funtów mąki pszennej na jednej kopie żółtek, cukru i wanilii. Wszystko musiało rosnąć w ciszy, ciepło i bez przeciągów. Najcięższą sprawą było potem ręczne wyrabianie ciasta w ogromnej dzieży, aż do uzyskania połysku i charakterystycznego "strzelania". Na to wszystko przyjemnie było patrzeć, ale Mamusia padała ze zmęczenia.

W pierwsze Święta Wielkanocne w 1930 roku baby piekło się jeszcze w piecu piekarskim w naszej kuchni, ale było to bardzo niewygodne z uwagi na ciasnotę mieszkania. W następnych latach, kiedy państwo Dobruccy zagospodarowali się już na dobre w swoim domu przy ul. Browarnej, obie mamy piekły baby razem w ich piecu piekarskim w suterenie. Do dziś ze wzruszeniem wspomina te zabiegi malutka wtedy siostra Janka - Mewa (Maria, Ewa).

Baby nasze piekło się nie w jakichś foremkach, tylko w przedłużonych papierem pergaminowym garnkach - w rezultacie czego miały one kształt wysokich brązowych walców. Po ostygnięciu i polukrowaniu ich czubów - szły na zaplecze wielkanocnego stołu. Przed nimi pyszniła się ugotowana ogromna szynka i kielbasy w formie kolistych pęt. Następnie szły finezyjnie przybrane torty, jajka kolorowe wytłuszczone do połysku i jajka białe do święcenia, i dzielenia się przy tradycyjnych wielkanocnych życzeniach. Wreszcie na zielonej owsianej łączce bielił się cukrowy baranek, którego po świętach obgryzaliśmy stopniowo od ogonka.

W Wielką Sobotę przychodził do nas późnym popołudniem zaproszony specjalnie o. Dominikanin wraz (z mocno chwiejącym się już na nogach) organistą i uroczyście święcił nasz stół wielkanocny. Odchodzili po otrzymaniu odpowiedniego datku na kościół. Po tym ceremoniale można było wybrać się na Rezurekcję, która w Czortkowie odbywała się wieczorem w Wielką Sobotę.

Po długim okresie ciszy i kołatek używanych przy ceremoniach Wielkiego Tygodnia, rozbrzmiewały wreszcie tryumfalnie dzwony. Kościół wypełniał się tłumem wiernych, a przy potężnym brzmieniu organów i w dymie kadzideł, rozbrzmiewała pieśń triumfu:

*Surrexit Dominus ex Sepulcro! Alleluja!*

Po Rezurekcji miały u nas miejsce rodzinne życzenia, połączone z tradycyjnym dzieleniem się jajkiem oraz kolacją świąteczną.

W pierwszy dzień świąt, po porannej mszy przychodzili do nas państwo Dobruccy. Nastrój był zawsze bardzo dobry, poszczególne dania spotykały się nieodmiennie z wysoką oceną biesiadników, z czego ogromnie zadowolona i dumna była gospodyni domu, czyli nasza najukochańsza Mamusia.

Przysmaki przepijali dorośli delikatną domową nalewką o pięknym kolorze i mocnym cytrynowym zapachu, co oczywiście skutecznie podnosiło świąteczny nastrój. Przy licznych deserach, wśród których królowały torty, otwierało się zwykle butelkę krajowego wina o pięknej nazwie "Złota Reneta", po czym następowała już tylko dobra herbata. (Czarnej kawy jakoś sobie u nas nie przypominam).

Dzieci, w zależności od pogody, wychodziły na podwórko albo do drugiego pokoju, natomiast ojcowie zaśmiewali się z dowcipów i wydarzeń z minionych czasów. Zapamiętałem m. in. zabawny fragment próby dętej orkiestry gimnazjalnej w Tarnopolu, prowadzonej przez kapelmistrza narodowości czeskiej.

Student grający na helikonie (największej trąbie basowej) nieustannie fałszował, wobec czego kapelmistrz wziął go na stronę i poddał specjalnej próbie.

- *Hrajte sim "C"*

- *Buuuu...*

- *Hrajte sim "D"*

- *Buuuu...*

- *Hrajte sim "E"*

- *Buuuu...*

- *Jeżisz Maria! Jeżisz Maria! U was každi ton je jedin ton!*

Zawsze następowała po tym salwa śmiechu.

W drugi dzień świąt spotykaliśmy się wszyscy przed południem u państwa Dobruckich. Tu również komplementowano dania gospodyni, nastrój był wspaniały i także płynęły wspomnienia z dawnych, "dobrych starych czasów" pod panowaniem nieodżałowanego cesarza Franciszka Józefa.

U państwa Dobruckich lepsze warunki do zabawy miały dzieci, był tam bowiem ogród warzywny połączony z owocowym sadem, podwórko z altanką obrośniętą gęstym bzem, a na poddaszu pokoik Janka, w którym przygotowywano stół "dziecinny", a później "młodzieżowy". Z jednego takiego przyjęcia pozostał mi w pamięci zabawny szczegół. Na jedne święta mama Janka przygotowała piwo słodowe własnej produkcji, i jedną wysoką butelkę postawiła także na naszym stole. Dla nas była to nie lada atrakcja. Janek to wyczuł i dość długo zwlekał z otwarciem piwa. Gdy się do tego wreszcie zabrał, miał jakieś trudności gdyż korek był mocno zalakowany. My trzymaliśmy butelkę, a Janek mocował się z korkiem. W końcu korek wyskoczył z wielkim hukiem, a za nim trysnęło piwo w postaci wysokiego gejzeru aż pod sufit. Gdy Janek odruchowo zatkał butelkę dłonią, pionowy strumień rozdzielił się na kilka strumieni poziomych, które wylądowały w

postaci musujących plam na wybielonych świątecznie ścianach. Piwko naprawdę musiało być dobre, miało piękny kolor i wspaniale pachniało drożdżami w całym pokoju. Rozbawieni śmialiśmy się z tej przygody długo.

Nie sposób nie wspomnieć na koniec o świętowaniu jeszcze jednej grupy wyznaniowej mieszkającej w Czortkowie - mianowicie Żydów.

W używanym u nas kalendarzu-terminarzu, drukowanym w miejscowej drukarni Marguliesa, na lewym brzegu strony widniały dni i święta rzymskokatolickie, na prawym - dni i święta według kalendarza juliańskiego, u dołu zaś rok oraz święta wedle kalendarza żydowskiego.

W najbliższym naszym sąsiedztwie mieszkał jedynie wspomniany pan Szwebel z córką. Zdzicha Wojewodzianka pokazała nam w tajemnicy umieszczony na prawej futrynie drzwi wejściowych Szwebłów maleńki blaszany pakiecik, w którym podobno znajdował się jakiś cytat z Talmudu. Żydzi przy wchodzeniu do mieszkania dotykali go palcami i całowali. Był to tylko jeden ze szczegółów wyróżniających zamieszkałą z nami w mieście ludność żydowską. Między sobą Żydzi używali na ogół języka zwanego jidis, a nie hebrajskiego, który był i jest do dziś językiem liturgicznym w synagogach i urzędowym językiem w obecnym państwie Izrael. Ja miałem w szkole takich kolegów, którzy nawet mówiąc po polsku - liczyli po żydowsku. Ale najbardziej wyróżniali się obrzędami świątecznymi.

We wspomnianym kalendarzu zaznaczone były święta żydowskie, takie jak Pascha, w czasie których koledzy - Żydzi przynosili nam pszenne placki zwane macą; święto namiotów - zwane popularnie "kuczki", w czasie których budowano na balkonach lub na odpowiednio otwieranych dachach szałaszy kryte kukurydzianą słomą, przez którą na świętujących powinien padać deszcz. (Gdy deszczu nie było, ustawiano na kukurydzianym daszku dziurawy arbuz z wodą). W święto "Hamana" chodziły ulicami poprzebierane w różne łachmany rozwrzeszczane grupy "hamanów", i odwiedzając żydowskie domy zbierały poczęstunki.

Tak poznawało się mieszkających w otoczeniu ludzi, stanowiących mozaikę narodowości, wyznań, zwyczajów i tradycji, a równocześnie tworzących niewątpliwie jedność w różnorodności. Odnosiło się wówczas niczym nie zmałowane wrażenie, że wszyscy żyli tu swoim życiem, nikomu nie przeszkadzając i nie zagrażając nikomu.

c.d.n.

Marian Okulicz  
Koszalin

## Wspomnienia z Syberii 1939 - 1946

Już ponad rok przebywałem z Mamą na zesłaniu w Jermaku, w Kazachstanie. Zaraz po przyjeździe zamieszkaliśmy, wspólnie z trzema polskimi rodzinami, w jednej izbie w dawnym budynku szkolnym. Oczywiście wszyscy musimy pracować. Mama z babcią w kołchozowej stołówce jako pomywaczki, a ja jako robotnik rolny, 14-letni poganiacz wołów.

Dla nas - zesłańców na Sybir - wybuch wojny niemiecko-sowieckiej był końcem jednego i początkiem całkiem innego etapu zsyłki. Radość Polaków była oczywista. Oto nastąpił konflikt dwóch agresorów, a więc sytuacja dla nas wymarzona. Może to upadek hitlerowskich Niemiec, lub klęska Sowietów? W każdym razie mamy szansę doczekać końca wojny i bez względu na to kto wygra, może uda nam się wrócić do domu.

W miarę nadchodzących z frontu informacji przeżywaliśmy swoistą satysfakcję. Bolało nas przedtem pokpiwanie Rosjan z Polski i naszego wojska, które stać było "jedynie" na dwa tygodnie oporu. Teraz fronty przesunęły się jeszcze szybciej. W dwa tygodnie utracono więcej niż pół Polski. Niemal bez oporu oddawano ziemię, w tym nasze Kresy, o których tak niedawno z dumą wykrzykiwano, że są już na wieki sowieckie. W uszach wciąż brzmiały hasła o niezwyciężonej Czerwonej Armii, która od Rewolucji gromiła każdego przeciwnika. W podręczniku historii dla dzieci raziło Polaków zdanie o wojnie polsko-bolszewickiej, jak to w 1920 roku bolszewicy doszli do Warszawy i "polskim panom" dali taką nauczkę, że nigdy jej nie zapomną.

Do tego wszystkiego dochodziły własne przeżycia. Tak naprawdę nikt, no, może prawie nikt z zesłańców nie doświadczył osobiście bezpośredniego zła od Niemców. Wszystkie nieszczęścia jakie przeżywano od chwili wkroczenia sowieckiego okupanta, który jak na ironię ogłosił się wyzwolicielem, przychodziły z jego rąk. Aresztowania najbliższych, wyłączenia ze wszystkiego, zsyłka, makabryczne warunki codziennego bytowania, zgony najbliższych. Niejednemu musiało wyrwać się westchnienie – *a, dobrze im tak!*

Mijały wojenne dni. W prasie i radiu, a u nas w radiowęźle (tzw. "kołchoźniku") pojawiły się nowe tony, życzliwe już głosy o "sojuźnikach", którzy walczą z "Giermańcem". Jakże inne były to tony od tych wcześniejszych,



kiedy ciepło kwitowano kolejne podboje niemieckie w Europie. Do dziś pamiętam karykaturę (chyba Kukryniksów), na której zabiedzony brytyjski lew z trudem utrzymuje się nad przepaścią, do której zwisa mu ogon z uczipionymi doń pokraccznymi kartami - Francją, Belgią, Holandią i Danią.

Mijały miesiące, nadchodziła kolejna, ale pierwsza dla nas wojenna zima. Późną śnieżną jesienią "Izwestia" i "Prawda" zamieściły zdjęcia gen. Władysława Sikorskiego w Moskwie, i wiadomość o podpisaniu porozumień polsko-sowieckich: o utworzeniu polskiego wojska w ZSRR i o amnestii dla wszystkich Polaków... Tym razem radość nie do opisania! Jak nożem uciął, skończyła się polska życzliwość dla niemieckich zwycięstw. A byli oni już pod Moskwą.

A potem przyszła pod Moskwą klęska Niemców. Utrwaliła ona tę drugą nadzieję, że teraz - aby do końca wojny. A potem powrót w rodzinne strony do ukochanej Ojczyzny i wszystkiego co było przed wrześniem.

Tymczasem zniesiono upokarzający i uciążliwy obowiązek okresowego meldowania się w NKWD, który raz lub dwa razy w tygodniu nakazywał każdemu zesłańcowi odnotować na odpowiednich listach swoją obecność. Towarzyszyły temu nieodłączne kolejki i konieczność zwalniania się z pracy. Niebawem zniesiono też zakaz zatrudniania Polaków na innych stanowiskach niż tylko pracowników fizycznych. Decyzję tę odczuliśmy w naszym domu. Moja matka z tzw. "pasudnicy" (pomywaczki w stołówce) awansowała na stanowisko oficjantki (czyli kelnerki), a ja z poganiacza wołów na zastępcę księgowego w mleczarni.

Minęło parę kolejnych miesięcy i przyszła wiosna 1942 roku, kiedy na jednym z domów w Jermaku zawisła biało-czerwona flaga. Powstał tu Polski Komitet. Mężem zaufania wybrany został p. Feliks Leszczyk, a moja matka sekretarzem, rezygnując z "zaszczytnej" funkcji kelnerki w stołówce.

Zaczął się niezwykle bogaty w wydarzenia rok. Zesłańcom zwanym od tego czasu "specpiesieleńcami", a traktowanymi do tej pory podejrzliwie, pozwolono na rozwijanie autonomicznego działania. Dorośli otrzymali zaświadczenia, że są obywatelami polskimi. Najważniejsze jednak było to, że wszelkie nominacje w Polskich Komitetach, ustanawianie mężów zaufania, zatrudnianie nauczycieli, uruchomienie paru klas szkolnych odbywało się bez ingerencji z zewnątrz. Organizowano spotkania i narady (raz nawet odwiedził Jermak umundurowany oficer Wojska Polskiego, chyba w mundurze angielskim). Do Polskiego Wojska w ZSRR, o którym sądziliśmy, że niebawem wyruszy na front sowiecko-niemiecki, ruszyli masowo mężczyźni i młodzi chłopcy. Ci ostatni dodawali sobie lat, aby tylko znaleźć się w wojsku. Pobór do wojska dotyczył wyłącznie ochotników. Masowość zjawiska

budziła zdumienie Rosjan i Kazachów. Oni pobór przyjmowali jako nie-szczęście.

Ogromna większość zwolnionych z więzień łagierników nadsyłała wiadomości, że prosto z łagrów jedzie do wojska. Tak też było z moim ojcem. Dlaczego? - Czasem była to może pewność odmiany okrutnego losu, ja jednak jestem przekonany, że decydowało coś innego. Tamto pokolenie wychowane było w najgłębszym przeświadczeniu, że obowiązek wobec Ojczyzny musi być przed "prywatą", nawet jeśli jest nią dobro własnej rodziny. Zaciąg do wojska pozostawał pierwszym obowiązkiem Polaka.

Polskie Komitety wykonywały ogromną pracę. Prowadziły ewidencję Polaków rozrzuconych po kołchozach, sowchozach, "posiółkach" i aułach. Pomagały w integracji środowiska, pocieszały rodziny, które nie miały wiadomości o swoich. Przekazywały informację władz sowieckich, że mrozy, a potem wiosenne roztopy uniemożliwiają powrót z niektórych łagrów, i muszą tam czekać do lata... Dziś wiemy, że zwodzono tak w owym czasie rodziny oficerów, policjantów i żołnierzy KOP-u.

Komitety rozdziałały nadchodzącą (chyba z Ameryki) pomoc materialną, w tym bezcenną żywność. Polski Komitet zakupił kazachski domek o dwóch izbach, gdzie zorganizował dożywianie dzieci i uruchomił parę klas polskiej szkółki. Najważniejszym było jednak poczucie przywracanej wartości wszystkiemu, co ceniliśmy przed 17 września i wzmocnienie nadziei, że koniec wojny przywróci wszystko, czego zostaliśmy pozbawieni. Nawet do Jermaku trafił egzemplarz wydawanego w Londynie czasopisma "Orzeł Biały", znaczki polskie wydawane przez Poczta Polską na obczyźnie, i jeden komplet emigracyjnego wydania "Trylogii".

Niestety idylla trwała krótko. Sowieckie zwycięstwa na frontach, przejście polskiego wojska do Iranu (w tym także mojego ojca), potem ujawniona przez Niemców sprawa katyńska, rozpoczynają ataki prasy na rząd londyński. Narastają trudności w pracy Polskiego komitetu. Aresztowany zostaje p. Feliks Leszczyk i "ekspresowo" skazany na 10 lat za... posiadanie radioaparatu i związane z tym działania. Moja Matka otrzymuje z Delegatury nominację na męża zaufania, ale w domu zaczyna mówić o możliwości aresztowania i o tym, co powiedzieć ojcu jeżeli się kiedyś spotkamy... Niepewność nie trwa długo. Zakupiony przez Komitet kazachski domek został skonfiskowany, a Matka otrzymała wezwanie do NKWD. Z wyznaczonej na późny wieczór "wizyty" już do domu nie wróciła. Zażądano od niej, jako męża zaufania Delegatury na rejon, przyjęcie sowieckiego paszportu. Odmówiła. W ciągu miesiąca odbył się proces, (oczywiście za zamkniętymi drzwiami). Słuchałem z korytarza przemówienia prokuratora, nawet adwokata, i

wyroku. Matkę skazano na dwa lata więzienia. (Akt oskarżenia przetrwał do dziś, zaszyty w łagrze przez Mamę pod podszewką palta).

Wkrótce wszyscy zesłańcy otrzymali wezwanie do NKWD po odbiór sowieckich paszportów i oddanie posiadanych zaświadczeń o polskim obywatelstwie. Znając już skutki odmowy paszportu w Jermaku wszyscy paszporty przyjęli, stając się ponownie obywatelami kraju Rad. Bywało, że ktoś usiłował się prawować. Odpowiedzi były krótkie: *Polszy niet i nie budiet! A Warszawa? - Warszawa toże budiet nasza.*

“Paszportyzacji” towarzyszyła też inna akcja. Wielu polskim obywatelom usiłowano zmienić narodowość. Często skutecznie. Może były jakieś obietnice, że Białorusini i Ukraińcy będą mogli wrócić w ojczyste strony? Znałem samotną Polkę, inwalidkę nie pierwszej młodości, którą obiecana możliwość powrotu w rodzinne strony skusiła do zgody na narodowość ukraińską, chociaż pochodziła z Wileńszczyzny i z Ukrainą nigdy nie miała nic wspólnego. Czasem miał miejsce zwyczajny szantaż. Żonie oficera KOP powiedziano krótko. *Wyznanie prawosławne? Polaków prawosławnych niet! A za fałszywe zeznania - “tiurma”.* Potem zgłosili się synowie tej pani. - *Polaki, tak? - a matka Białorusinka? - Wriosz! A za kłamstwo więzienie. Młodzi replikowali – Otec Polak! - Jaki ojciec, gdzie ojciec? Ty Białorus.* I wydano paszport z wpisem narodowość białoruska.

Taki był finał optymistycznego okresu zsyłki. Weszliśmy w okres trzeci. Polski Komitet przestał istnieć, likwidacji uległa polska szkołka, z zakupionego a skonfiskowanego domku wysiedlono parę mieszkających tam rodzin. Trzeba jednak przyznać, że sytuacja z pierwszego roku zsyłki nie powróciła. Nie cofnięto prawa Polaków do pracy umysłowej, nie przywrócono cotygodniowego obowiązku meldowania się w NKWD. Najciekawsze było jednak to, że wydarzenia przyjmowano ze względny spokojem. Nie zniszczyły one nadziei, która dawała szansę przeżycia warunków, jakie dziś wydają się niewyobrażalne. Wciąż oczekiwano z nadzieją końca wojny i niezłomnie wierzono, że zachodni sojusznicy skutecznie upomną się o prawa Polski i Polaków.

Nadeszła kolejna zima. “Prawda” i “Izwestia” przyniosły informacje o powstaniu w ZSRR czechosłowackiego batalionu, a niebawem o polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki, która u boku Armii Czerwonej stanąć ma do walki z Niemcami. “Wojenkomaty” rozpoczęły obowiązkowy już pobór do polskiego wojska. W Moskwie zaczęła wychodzić polska gazeta “Wolna Polska”. Wszystkiemu patronuje Wanda Wasilewska. Powstaje “Związek Patriotów Polskich”.

Po jakimś czasie powstała także w Jermaku rejonowa komórka tego Związku. Przewodnictwo w ZPP obejmuje w rejonie p. Berlińska - żona po-

licjanta (zamordowanego w Miednoje), sekretarzem zostaje p. Orgiel – Żyd, po łagrze i wydanym kiedyś wyroku śmierci. Ja zostałem prezesem Koła Młodych.

Komórka Związku Patriotów prowadzi ewidencję Polaków, wydaje legitymacje i pobiera jakieś groszowe składki. Granatowe legitymacje z polskim, chociaż nieco dziwnym orłem bez korony, nosimy z dumą. Aktywne jest Koło Młodych. Gromadzi ponad 20 osób w wieku od 8 do 20 lat. Zbieramy się wieczorami w miejscowym klubie, potem w wynajętym zimnym pokoiku. Spotkania odbywają się codziennie. Młodzież sama dba o opał, a zebranie oświetla “koptiłka” (stojąca na piecu butelecarka po lekarstwach z knotem i naftą). Tak zwane zebrania są jednorodne, wieczorami najmłodszy, a trochę starsi gromadzą się po pracy i śpiewają polskie pieśni. Nie ma śpiewników, nie ma tekstów i nut, pozostaje jedynie pamięć. Wszystko to w ramach przygotowania polskiej akademii dla mieszkańców Jermaku, gdy nadarzy się ku temu odpowiednia okazja. Oprócz polskich, śpiewamy także rosyjskie pieśni wojenne, recytujemy jakieś wiersze, przygotowujemy miesięcami rosyjską jednoaktówkę o walce partyzantów z Niemcami. Przede wszystkim śpiewamy zapamiętane pieśni patriotyczne, legionowe, harcerskie i ludowe. Pozwala to uciec od czarnej codzienności. Nikomu na myśl nie przychodzi, że może to komuś nie odpowiadać, może być źle widziane, że centrala Związku Patriotów w Moskwie ma inne opcje.

Na próbach bywa sama młodzież. Kiedyś zaprosiliśmy panią, która w Polsce uczyła śpiewu. Słuchała, załamywała ręce, ale zapału nie studziła. Każdy śpiewał jak potrafił. Pod jej okiem ćwiczyliśmy krakowiaka, kujawiaka i coś tam jeszcze. Próby trwały bez końca. Zajmowały czas, pozwalały być razem wśród swoich. Kiedyś odwiedziła nas przedstawicielka Związku z Pawłodaru, centrum naszej “obłasti”. Zachęcała, chwaliła. W “Wolnej Polsce” ukazała się notatka o Kole Młodych w Jermaku. Cieszyliśmy się.

Działalność Związku Patriotów przyjmowano z aprobatą, a artykuły w związkowej gazecie, krytyczne wobec rządu londyńskiego i warunków w Polsce sanacyjnej, traktowane były jako niezbędna przykrywka dla możliwości rozwijania właściwych działań. Nikt tej pisaniny nie traktował w Jermaku poważnie.

Tak doczekaliśmy się powstania PKWN, wyzwolenia - okrojonej o Kresy Wschodnie - Polski i zakończenia wojny. Coraz pewniejszy i bliższy stał się wyjazd do Polski. Zimą 1946 roku zaczyna się tzw. “opcja”, tzn. konkretne starania o dokumenty repatriacyjne. Bogata jest tegoż historia. Do budynku NKWD zaproszeni zostają przedstawiciele Związku Patriotów Polskich. Akcję prowadzi przysłany z “obłasti” oficer, ja zostaję pisarczykiem, bo okazało się, że piszę drobno i czytelnie. Wypełniane są jakieś for-

mularze i zestawienia. Repatriacja ma objąć Polaków i Żydów, a także rodziny żołnierzy, którzy znaleźli się w polskim wojsku. Wymagane są jakiegokolwiek polskie dokumenty. Ja legitymuję się przedwojenną książeczką PKO, innym wystarczają świadectwa szkolne, cokolwiek...

Pragnienie wyjazdu zgłosili wszyscy zesańcy. Z całego rejonu znane są dwa przypadki dobrowolnego pozostania kobiet. Prosta dziewczyna wyszła za mąż za starszawego księgowego - Rosjanina, druga - młoda oficerowa, której przytrafiło się urodzić dwoje kazachskich dzieci. Ich ojciec zginął na froncie, a rodzice męża kategorycznie oświadczyli Polce - *ujeżdżaj, ale dzieci syna są nasze i pozostaną*. Matka pozostała więc w kazachskim aule...

W klimacie przygotowań do wyjazdu, młodzież polska zorganizowała w dużej sali miejscowego klubu pożegnalną akademię. Wtedy po raz pierwszy zetknięto się z cenzurą. Okazało się, że "sielsowiet" miał wydać przed akademią zgodę na wszystkie teksty. I tu urzędniczka zakwestionowała jedyną pieśń, którą młody Polak chciał śpiewać po kazachsku. Śpiewał dobrze, ale ortografia była do niczego. Tekst zdjęto. Ale gdy mimo zakazu został odśpiewany, wzbudził entuzjazm Kazachów. Salę klubu szczelnie wypełniał tłum. Śpiewano ćwiczone miesiącami pieśni, tańczono krakowiaka i inne tańce ludowe, był solowy występ taneczny, była rosyjska jednoaktówka, a wszystko rozpoczynało przemówienie. Do dziś zachowałem jego pożegnalno-dziękczynny tekst. Zaczynały go wyrazy wdzięczności dla zwycięskiej Armii Czerwonej za wyzwolenie Polski i dla generalissimusa Stalina, za umożliwienie powrotu do Ojczyzny. W perspektywie wyjazdu, podziękowania były naprawdę szczere.

Mijały dni niecierpliwego oczekiwania, aż któregoś późnego wieczoru w lutym 1946 roku przedstawiciele ZPP wezwani zostali do NKWD. Oczekiwał ich oficer z Pawłodaru. Siedział przy stercie akt i oznajmił, że nadeszły dokumenty, a za parę dni nastąpi wyjazd do Polski. Następnie zaczął odczytywać decyzje i nazwiska. Napięcie było nie do opisania. Oficera sytuacja ta wyraźnie bawiła. (Tu mała dygresja. Wcześniej rozeszła się pogłoska, że skazani za odmowę przyjęcia sowieckich paszportów nie zostaną wypuszczeni, ponieważ "opcja" i repatriacja dotyczy tylko tych, którzy zmieniają obywatelstwo sowieckie na polskie. Skazani za odmowę nie są obywatelami ZSRR i nie wiadomo jak ma wyglądać ich "opcja"). Oficer przekładał teczki i czytał nazwiska, wymieniając na początek decyzje odmowne. Taki a taki - *nie pojediet, nie pojediet, nie pojediet*. Osoby te znaleźmy, i przeżywaliśmy ich tragedie.

W pewnym momencie oficer wziął teczkę i pyta - *kto takaja Okulicz?* - Przerażony patrzę na prezeskę Berlińską i widzę jak blednie. Wyobrażam

sobie mój wygląd wówczas. Pani Berlińska wyjąkała *...to matka tego...* i wskazała na mnie palcem. - *Nu da*, powiedział oficer i odkładając teczkę mojej Matki, najspokojniej czytał dalej - ten i ten *nie pojediet, nie pojediet* Potem zaczęło się odczytywanie nazwisk wyjeżdżających. W którymś momencie padło nazwisko mojej Mamy – *jediet!* Odetchnąłem. I nadal czytanie nazwisk. Wtem pytanie oficera NKWD zwrócone do mnie - *kak twoja familia?* Odpowiedziałem, a on - *nie pojediesz!* - Roześmiałem się chyba w głos, bo byłoby to całkiem już bez sensu. - *Pojediesz, pojediesz!*

Sekretarz komórki ZPP w Jermaku z trudem został odnaleziony i przybył z dużym opóźnieniem. Pan Orgiel, który w życiu przeszedł już niejedno, powitany został pytaniem - *a ty chcesz jechać w Polszu?* Zapytany zdębiał. Wie, że decyzja już zapadła, ale co znaczy to pytanie? Jeżeli powie tak a w papierach jest odmowa, to może spotkać go zarzut, że Związek Radziecki mu się nie podoba i w rezultacie droga do łagru stanie otworem... Jeśli powie nie a w papierach jest zgoda na wyjazd, to NKWD-zista gotów powiedzieć: *choroszo, oczeń choroszo* nie chcesz to zostaniesz. Pan Orgiel błędnie, kiwa się na boki, wyciąga rękę, wskazuje na teczki – *niech będzie tak jak tam napisano*. NKWD-zista oburza się. *Co znaczy niech będzie? Chcesz jechać, czy nie?* Pan Orgiel spogląda na nas. Potakujemy: *Tak! Tak!* Nam znana już była odpowiedź pozytywna. On waha się i wreszcie wykszusza: *Niech będzie jak grażdanin naczałnik uważa. Czto ja?* - i wreszcie pada - *pojediesz, pojediesz*.

Ostatnią moją czynnością działacza polskiej placówki ZPP w Jermaku było pukanie do okien lub drzwi znajomych: są dokumenty z NKWD, wyjazd za parę dni!

Przytaczam tu okruchy historii sześćioletniej zsyłki, ujęte pod jednym tylko kątem, widziane w małym zakątku tej bezkresnej ziemi. Ile faktów i wydarzeń odchodzi w niepamięć wraz ze świadkami. Czterdzieści parę lat zacierano pamięć zesłańców o tym wszystkim, co przeszli.

Zostawmy te okruchy ich historii dla potomności.

Zbigniew Tomaszewski  
Lubań

## **Moja droga z Kazachstanu do polskiej szkoły w Miłosnej (Lubomierzu)**

Czym właściwie różni się mój los od losu tysięcy Polaków deportowanych do Związku Radzieckiego? Pisanie na swój temat jest sprawą bardzo osobistą, więc krępującą. Nie nadaję się na bohatera, ale czego nie robi się dla kolegów ze szkoły, którzy zwrócili się do mnie w tej sprawie.

Początkowo myślałem, że materiału jest bardzo mało ale w miarę przemyśleń sądzę, że starczyłoby na cały pamiętnik, ba... nawet na książkę. Całe szczęście, że dotyczy to krótkiego okresu mojego życia tj. od 1940 do 1949 roku.

Urodziłem się bardzo dawno temu na wschodzie Polski. Trzy klasy szkoły podstawowej ukończyłem w miejscowości rodzinnej, czwartą klasę w Tarnopolu w szkole im. Konarskiego (nosiliśmy charakterystyczne okrągłe czapki z szerokim bordowym otokiem).

Jesienią 1939 roku wkroczyli Rosjanie i nakazali uczęszczać do szkoły z językiem wykładowym ukraińskim. Nie trwało to długo. W kwietniu 1940 roku przyszli w nocy funkcjonariusze NKWD, załadowali nas do bydłowych wagonów, które zadrutowali i wywieźli nas na wschód. Jechaliśmy około miesiąca. W tym czasie przebyliśmy ok. 8 tys. kilometrów.

Dotarliśmy do ostatniej stacji kolejowej – Pawłodaru, “obłasti” (miasta wojewódzkiego) nad rzeką Irtysz, gdzie przeładowano nas na barki. Po kilku dniach dopłynęliśmy do kopalni Rudnik w miejscowości Majsk (ok.40 km przed Semipałatyńskiem, którego nazwa wywodzi się od siedmiu namiotów – “siem pałatok”). Kto oglądał film “Kurier carski” w wersji rosyjskiej lub zachodniej, może spróbować to sobie wyobrazić. Kazano wysiąść nam na brzeg, gdzie pracodawcy wybierali wśród nas niewolników do pracy. Ktoś z miejscowych szepnął Matce, że lepiej jest zostać na miejscu w kopalni. Tak też uczyniliśmy.

Wszystko tam było inne – dookoła jak okiem sięgnąć step, inni ludzie, inny klimat. Przydzielono nam “ziemlankę”, w której zamieszkało jednocześnie dziesięć rodzin. Wzdłuż ściany ustawiona była długa prycza z obrzynków sosnowych, oparta na wkopanych w ziemię palach. Spaliśmy na niej obok siebie jak śledzie, a cały dobytek przywieziony z domu, umieszczony był na ziemi pod pryczą.

Miałem 10 lat. Zacząłem pracować w przykopalnianym gospodarstwie. Pastem, karmiłem i poilem konie. Wozilem drzewo z tratwy na teren gospodarstwa i wykonywałem różne prace porządkowe. Po pewnym czasie zostałem przyjęty do kopalni, gdzie pracowałem do końca pobytu. Początkowo byłem uczniem ślusarskim, później pracowałem już jako ślusarz, kowal i spawacz.

W kopalni wydobywano białą glinę (ochra), którą ładowano na barki (od maja do października, gdyż w pozostałym okresie Irtysz zamarzał) i przewożono do Pawłodaru. Tam ładowano ją na wagony i wieziono koleją do dużych zakładów metalurgicznych w Kuźniecku. Służyła do budowy pieców martenowskich i wyrobu form odlewniczych.

Kilka słów historii. Za cara pracowali w kopalni katorżnicy, przykuci łańcuchami do taczek, którymi wozili urobek na barki. W czasie rewolucji zsyłano tam pierwszych “białych” Almaatyńskich Kozaków (byli to żołnierze carscy, którzy podbijali te tereny walcząc z Tatarami i Kazachami). Kolejnymi zesłańcami byliśmy my – Polacy. Podczas wojny Rosjanie przywieźli tu Niemców z Ukrainy. A pod koniec mojego pobytu przywieziono Czeceńców, którzy wymarli w okresie od jesieni do wiosny z braku żywności i odpowiedniego ubrania.

Wydobywana glina była surowcem strategicznym. W czasie wojny potrzebna była do wytopu żelaza, w związku z czym warunki pobytu i pracy w kopalni były bardzo surowe, zbliżone do gułagu. Wszystko mogło tu być uznane za sabotaż. Nie wolno nam było oddalać się na odległość większą niż 4 km od miejsca zamieszkania. Pracowałem 12,5 godz. dziennie, bez wolnych niedziel i świąt, z półgodzinną przerwą na posiłek, który składał się z pół litra gotowanej wody (“kipiatok”) i łyżki soli, bez której nie dało się żyć. Zimą musieliśmy pracować w kopalni odkrywkowej – zgodnie z przepisami do temperatury  $-45^{\circ}\text{C}$  - a ponieważ nie było termometrów, niejednokrotnie pracowaliśmy w niższych temperaturach. Latem temperatura utrzymywała się średnio  $+40^{\circ}\text{C}$ . W maju jeden lub dwa razy padał niewielki deszcz, po którym step nieco się zazielenił.

Mógłby ktoś zapytać jak udało mi się przeżyć to piekło? A, to już inna historia, to moja prywatna “szkoła przeżycia” i temat na napisanie książki. Będzie to również odpowiedź dla kolegi z naszej klasy, który powiedział na zebraniu: *Kolega Tomaszewski był w Związku Radzieckim, niech opowie nam jak tam było dobrze.*

Wcześniej nie mogłem tego zrobić z wiadomych przyczyn. Teraz już mogę odpowiedzieć koledze: *Z mojego transportu liczącego 1300 osób, powróciło do kraju niecałe 300 osób – tak nam tam było dobrze, proszę kolegi.*



O nastawieniu tubylców (Kazachów) do Polaków może posłużyć taki przykład:

- *Ty znajesz? Cichocki podoch.*

Gdy natomiast zginął koń kopalniary słyszało się:

- *Ty znajesz, łosząd' pomierła. Żałko.*

Do kraju wróciłem w czerwcu 1946 roku i dzięki pomocy rodziny, zamieszkałem z Mamą w Radoniowie. Miałem dopiero 16 lat, ale już bardzo duże doświadczenie życiowe. Szybko zrozumiałem, że nie chcę być do końca życia ślusarzem czy rolnikiem. Muszę chodzić do szkoły i dobrze się uczyć, aby coś w życiu osiągnąć. Muszę też zmienić życiorys; w przeciwnym razie nie zdam matury i nie dostanę się na studia. Mój Ojciec, b. policjant, został aresztowany w lutym 1940 r. Dopiero przed dwoma laty otrzymałem odpowiedź z MSW, że Ojciec znajduje się na liście katyńskiej pod numerem 2955, zamordowany przez NKWD w czerwcu 1940 r.

Po powrocie z Rosji, zacząłem uczęszczać do VI klasy szkoły podstawowej w Gryfowie. Za dobrą naukę szybko zostałem przeniesiony do klasy VII. Wszystkim siedmioklasistom zaproponowano wówczas zapisanie się do wstępnej klasy gimnazjum w Miłosnej. Po miesiącu nauki wystąpiłem z prośbą o przyjęcie mnie do pierwszej klasy gimnazjum. Zdałem egzamin i zostałem przyjęty. Szkołę ukończyłem w 1949 roku.

Naukę w Miłosnej rozpoczęliśmy od prac porządkowych. Nosiliśmy ławki, stoły i krzesła z klasztornego strychu, sprzątaliśmy klasy, podwórko, myliśmy okna, wywoziliśmy śmieci. "Duży budynek" na podwórku (sala gimnastyczna) wypełniony był pod sufit niemieckimi dokumentami. Tak samo wypełnione były piwnice budynku szkoły. Były to dokumenty z Generalnej Guberni. Dopiero po jakimś czasie zostały wywiezione i prawdopodobnie spalone.

Dzień nauki rozpoczynał się apelem wojskowym na dziedzińcu szkoły. Na czele stali uczniowie w mundurach wojskowych z dystynkcjami, na końcu my – cywile. W każdą niedzielę chodziliśmy wszyscy parami obowiązkowo do kościoła. W szkole uczono nas wszystkiego: zachowania się w towarzystwie, w szkole, na ulicy, jak należy kłaniać się itp.

Najbardziej utkwiała mi w pamięci atmosfera tej szkoły. Żyją nią do dziś wszyscy uczniowie, którzy przyjeżdżają z całego kraju a nawet z zagranicy na różne rocznicowe uroczystości.

Po ukończeniu gimnazjum w Lubomierzu, ponieważ nie chciałem być nauczycielem, przeniósłem się do LO w Lubaniu. Maturę zdałem w 1951 roku. Dostałem się na Akademię Medyczną we Wrocławiu, którą ukończy-

łem w 1956 roku. Po rocznym stażu w szpitalu Jeleniogórskim podjąłem pracę w szpitalu w Lubaniu.

Pracowałem bardzo dużo – 6 godz. w szpitalu, 7 godz. w poradni i dyżury w pogotowiu. Odbylem też wiele staży klinicznych, niemal we wszystkich klinikach ginekologiczno-położniczych w Polsce, co zajęło mi 5 lat życia. Nabyłem wiele ważnych umiejętności związanych z moją specjalizacją. Uzyskałem I i II stopień specjalizacji. Wygrałem konkurs na ordynatora oddziału ginekologiczno-położniczego w Lubaniu. (Byłem wtedy najmłodszym ordynatorem na Dolnym Śląsku, wyszkoliłem kilkunastu lekarzy).

Obecnie jestem na emeryturze, pracuję w szpitalu w niepełnym wymiarze godzin, starając się być nadal potrzebnym i służyć radą młodszym kolegom.

Na koniec wrócę jeszcze raz do tematu syberyjskiego. Gdy byłem w ub. roku w sanatorium, znajomy lekarz przeczytawszy moje wspomnienia zawołał: *to był horror! Jak pan mógł to przeżyć? Wtedy zrozumiałem, że inni czytelnicy mogą mieć również podobne odczucia.*

Cytując powiedzenie znanego polityka *nie chcem ale muszem*, uchylam rąbka tajemnicy z “mojej prywatnej szkoły przeżycia”.

Przede wszystkim należało od początku uświadomić sobie położenie i kierując się instynktem, z determinacją walczyć o przetrwanie. Każdy człowiek musiał zdobywać pożywienie dla siebie i reszty swojej rodziny. Aby przeżyć, niezbędne były pewne uwarunkowania. Wszyscy członkowie rodziny powinni być młodzi, zdrowi i silni.

A oto przykład: pewna matka przyjechała z dwójką małych dzieci, w wieku 5 i 6 lat. Będąc u nich ostatni raz zobaczyłem pluszowego misia przyczepionego tasiemką do sufitu.

- Tadzium, dlaczego powiesiłeś misia na suficie?
- Żeby go pluskwy nie gryzły – odpowiedział malec.

Matka wszystko co miała oddawała do jedzenia dzieciom, dla siebie pozostawiając bardzo niewiele. Najpierw zmarła matka, potem jej dzieci.

Nie można było dać się złapać w propagandową pułapkę: – jeżeli wykonasz większą normę wydobywania, dostaniesz większy “pajok” (przydział chleba). Kto czytał “Archipelag Gułag” Sołżenicyna wie, że parę gramów chleba nie daje możliwości regeneracji sił, natomiast wyższa norma prowadzi do szybkiego wyniszczenia i śmierci (vide pan Cichocki). Należało tak pracować, aby strata sił była jak najmniejsza. Skąd ja to wtedy wiedziałem? Przecież nie czytałem Sołżenicyna. Może to Opatrzność, może przypadek, a może dowiedziałem się tego od ludzi, którzy tam wcześniej pracowali?

Aby przeżyć, należało przede wszystkim zdobyć pożywienie. Pierwszym sposobem był handel wymienny własnego dobytku na produkty żywnościowe, drugim – kradzież.

Istniały dwie formy własności: prywatna i państwowa. Prywatna była zwyczajowo nienaruszalna, jeden drugiemu nic raczej nie zabierał. Ewentualna kradzież prywatnej własności (jako kradzież drobna) nie była surowo karana przez prawo. Natomiast kradzież własności państwowej, “gosudarstwiennoj”, karana była bardzo surowo. Przekonał się o tym pan Krupa, b. pracownik poczty w Tarnopolu, który jako pierwszy Polak sądzony był za kradzież z kolchozu jednej główki kapusty. Dostał za to 1,5 roku więzienia, ale nie przeżył tam nawet kilku miesięcy. Była to przestroga dla pozostałych: kraść trzeba, ale nie można dać się złapać.

Po powrocie do kraju, poszedłem do spowiedzi do ks. Pyclika, który był moim proboszczem i nauczycielem religii. Powiedziałem mu, że kradłem aby przeżyć. Spodziewałem się najgorszego. Tymczasem, o zgrozo! usłyszałem: *To dobrze, ci złodzieje ukradli nam wszystko, wszystko nam zabrali.* Do tej pory nie wiem, czy ksiądz proboszcz uzgodnił to przedtem z Najwyższym, czy była to jego własna interpretacja siódmego przykazania, ale rozgrzeszenie dostałem.

W owym trudnym okresie mój spryt i pomysłowość okazały się niezwykle pomocne. Wiedziałem, że w Irtyszu są ryby. Potrzebowałem wędki i sam ją wykonałem. Z cienkich drucików liny cumowniczej barek pływających po rzece, zrobiłem haczyk a z włosia końskiego (ogonów koni pracujących w kopalni) “żyłkę”, splatając włosie w “kolanka”, które po połączeniu utworzyły linkę. Ryby łowiłem od godz. 1-szej w nocy do 6-tej rano, bo o godz. 7-ej musiałem już być na stanowisku pracy w kopalni. Przeważnie udawało mi się złowić kilka małych ryb, nazywanych “czubaki”, podobnych do płoci. Była to uczta dla całej rodziny. Dostarczały nam białka, witamin, soli mineralnych. Nie zjedzone ryby nawlekało się na wiklinowe gałazki, (aby schły w wysokiej temperaturze powietrza) i przechowywało na zimę.

W miesiącach kiedy Irtysz wylewał, tworzyły się zakola z naniesionego mułu, które porastały trawą, szczawiem i rośliną podobną do szczypioru czy czosnku. Tubylcy nazywali ją “łuk” – cebulą. Spożywanie tej rośliny zapobiegało skorbutowi (“cyngi”). Kto widział ludzi z owrzodzeniem podudzi i sączącymi się ranami, kto widział spuchnięte krwawiące dziąsła i chwiejące się zęby, które dawały się wyjąć palcami, widoku tego nie zapomni.

Podczas studiów, na ćwiczeniach dotyczących awitaminoz, omal nie doszło do dekonspiracji. Wyrwało mi się, że widziałem u ludzi skorbut. Po-

tem w strachu tłumaczyłem się, że chyba tak mi się tylko zdawało. Bo i gdzie w Polsce mogłem to widzieć?

Pan Lewicki, mój sąsiad z ziemianki, miał problemy z nauką łowienia ryb i zbieraniem cebuli mimo, że chciałem go tego nauczyć. Miał "piękny" szkorbut, ale szczęśliwie przeżył.

A to, że sam przeżyłem? Może po prostu miałem szczęście?

Nie wiem, czy miałem prawo wymieniać tu nazwiska. Ale byli to realni, szlachetni ludzie i kto wie, czy nie jest to jedyna po nich pamiątka?

Wydawnictwo NERITON ostatnio wydało:

Piotr ZARZYCKI *Południowe Zgrupowanie Armii "Prusy" we wrześniu 1939 roku.*

Warszawa 2001. 439 str., liczne fotografie i mapki.

*Tadeusz Swinecki  
Grybów*

Dzieciom i wnukom poświęcam.

## **Nie odnalazłem Puźnik na Podolu...**

### **Wspomnienia**

#### **Cz. I**

Moja córka Bożenka chce, abym opowiedział swój życiorys, to, co jako 80-latek przeżyłem, co widziałem, co również mogłoby być interesujące dla innych.

A więc spróbuję, zobaczymy, co z tego wyjdzie.

### **Dzieciństwo i młodość (fragmenty).**

Moja Mama, z domu Lissowska, była rodowitą Warszawianką, a Ojciec pochodził z Konstantynowa koło Łodzi. Ja zaś urodziłem się w ... Kijowie. Tak, w Kijowie, i tak mam zapisane w metryce urodzenia i we wszystkich innych dokumentach. Równie dobrze mogło być napisane, że Tadeusz Jerzy urodził się np. w Kaczym Dole i miałoby to pewne znaczenie na przyszłość, a w każdym razie uchroniłoby mnie od wielu przygód i niepotrzebnych przykrości.

Ojciec był pracownikiem Warszawsko-Wiedeńskiej kolei, która podlegała władzom rosyjskim. Gdy wybuchła I wojna światowa, i gdy w 1915 r. "Prusacy" (tak się mówiło) zbliżali się już do Warszawy, władze carskie ewakuowały wszystkich swoich urzędników do Rosji. W ten sposób rodzice z moją maleńką siostrą znaleźli się w Petersburgu, gdzie Matce klimat nie służył, i Ojciec poczynił starania o przeniesienie.

Po okresie pobytu w Moskwie, gdzie również Mama źle się czuła, znaleźli się na południu Rosji w Nowoczerkawsku. Tu klimat dla Mamy był dobry i owoców południowych, jak w ogóle żywności, nie brakowało.

W 1917 r. wybuchła w Rosji rewolucja. Jej ognisko było w Petersburgu i w Moskwie, na południe fale rewolucyjne dochodziły powoli i nie miały tak gwałtownego przebiegu jak na północy. Niemniej jednak ataman kozacki – jak mówił Ojciec – postrzelił się w głowę, nie mogąc sprostać nowym rewolucyjnym prądom.

W tej sytuacji rodzice postanowili wrócić do Kraju, tym bardziej, że dotarły do nich wieści o mającym powstać państwie polskim. Spakowali niezbędne rzeczy do koszy i ruszyli w drogę. W czerwcu musieli podróż przezwyciężyć, gdyż nadszedł czas rozwiązania. I w ten sposób 14 czerwca 1918 r. przyszedłem na świat w kijowskiej klinice.

Rodzice wracali do kraju w opłakanych warunkach w towarowym wagonie, nie było możliwości mnie wykąpać, nie było też jedzenia. Dotarli jednak do Warszawy, gdzie stwierdzili, że z koszy znikły co cenniejsze rzeczy, a ich miejsce zajęły kamienie. Tu zatrzymali się u krewnych Mamy, i tu w 1919 r. odbył się mój chrzest w kościele Wszystkich Świętych na placu Grzybowski, do którego podobno szedłem już samodzielnie.

Dodam, że Ojciec mój był synem powstańca z 1863 roku (posiadam dokument) i patriotą, do Kijowa miał sentyment i uważał, że Polska powinna być "od morza do morza", a Kijów, zdobyty szczerbcem Chrobrego, słusznie należał się Polsce.

Z Warszawy rodzice przenieśli się do Radomia, a w 1920 r. do Bydgoszczy, która w tym czasie była jeszcze bardzo niemczona. Mieszkało tam sporo Niemców, a Polacy słabo mówili po polsku. Mama mocno to przeżywała i nie mogła przyzwycząić się do ludności. Mnie zaś przez pewien czas chłopcy przezywali w szkole "Rusek". Gdy w 1936 r. zdawałem maturę, Bydgoszcz była już miastem bardzo polskim, a mniejszość niemiecka była rzeczywiście mniejszością. Ale jak się okazało w latach 1935-1939 – mniejszością dobrze zorganizowaną. W niedziele można było zobaczyć grupy młodzieży niemieckiej - dziewczęta w czarnych spódnicach i brunatnych bluzkach uczesane "w gretkę", chłopców w czarnych krótkich

spodenkach i brunatnych koszulach z pasami i koalicijkami przez lewe ramię – jak maszerowali do lasu w stronę Rynkowa na “wojskowe” ćwiczenia.

Po powrocie z wakacyjnego obozu harcerskiego w Muszynie, wyjechałem w 1936 r. do Warszawy, na immatrykulację 5 października w SGGW. Immatrykulował Rektor prof. Jan Miklaszewski, z którym łączyło nas jakieś pokrewieństwo. Szkoła miała w tym czasie trzy Wydziały: Leśny, Rolny i Ogrodniczy. Na moim Wydziale Leśnym było 56 studentów.

Razem ze mną immatrykulowane były (ale na Wydziale Rolnym) Wanda Piłsudska, córka Marszałka i Hania Kwiatkowska, córka wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Wandę Piłsudską pamiętam szczególnie, ponieważ odrabialiśmy przy jednym stole ćwiczenia z chemii nieorganicznej. Na I roku wykłady i ćwiczenia z botaniki, biologii i chemii nieorganicznej odbywały się dla wszystkich trzech Wydziałów wspólnie.

Pierwszą wakacyjną praktykę odbywałem w nadleśnictwie Kostkowo koło Lidzbarka. Po drugim roku praktyka wypadła mi w Worochcie, w Czarnohorze. Ciągnęło mnie coś do tych gór i do tych stron na południowym wschodzie Polski.

Podróż z Bydgoszczy do Worochty była dość daleka. Zatrzymałem się po drodze we Lwowie i obejrzałem Panoramę Raclawicką, której nie znałem. Do Worochty przyjechałem rano. Przyjął mnie nadleśniczy p. Leon Skrzyszowski (adiunktem był inż. Dutka) i wyznaczył mi praktykę na Foreszczence. Pracował tam mój starszy kolega Boguś Trybus, prowadził prace doświadczalne i zakładał powierzchnie próbne. Na Foreszczenkę pojechałem następnego dnia drezyną, szlakiem kolejki wąskotorowej o długości 14 km. Zgłosiłem się do kol. Trybusa. Mieszkał u gajowego Nosala. Byli to sympatyczni ludzie, mieli troję dzieci. Ich syna Władka spotkałem po wojnie w Muszynie. (Był prezesem Spółdzielni “Przełom” w Krynicy). Na Foreszczence spotkałem również strażnika łowieckiego Prodaniuka, o którym pisze Tadeusz Petrowicz w swojej książce “Od Czarnohory do Białowieży”.

Następnego dnia ruszyliśmy w teren, pod górę, razem z pięcioma Hucułami. Pamiętam ich imiona: Wasyl Duży, Wasyl Mały, Dmytro, Pawło i Danyło. Patrzyłem ze zdumieniem, jak w czasie przerwy na posiłekżywiali się żółtą ze starości słoniną, czosnkiem, razowym chlebem i popijali to zimną źródlaną wodą.

Pewnego dnia podczas pracy w lesie lunął deszcz i biły pioruny. Moi Huculi się uwinęli i zjechali w dół. Ja szedłem wolno i zatrzymałem się przy źródelku, aby napić się wody. Podniosłem głowę i zdębiałem... Kilka metrów ode mnie, oparty o zwalone drzewo, stał duży niedźwiedź. Podniósł przednie łapy i wydał groźny pomruk. Nie było na co czekać. Poderwałem się na nogi i nawet nie wiem kiedy znalazłem się w domu.

Na Foreszczence poznałem wielu sympatycznych ludzi: Michała Witowskiego (adiunkt – leśniczy połoninowy), inż. Radałowicza z Zawojeli, państwa Tylków i kpt. Bolesława Mościckiego, komendanta odcinka straży granicznej. W tym towarzystwie miło spędzaliśmy z Bogusiem wolne sobotnie wieczory. Urządzaliśmy również wycieczki. Pamiętam jedną z nich na Howerłę (2058 m). Na samym szczycie złapała nas burza, którą przesiedzieliśmy skuleni pod głazami, ale porządnie zmokliśmy.

Nie mogę zapomnieć inż. Tyskiego, kierownika schroniska na Pożyrzewskiej, który został później w bestialski sposób zamordowany przez Ukraińców.

Z żalem opuszczałem Worochtę. Czarnohora podbiła moje serce swoim urokiem i dzikością. Czułem, że ta część Polski pozostanie na zawsze w moim sercu i pamięci.

Kolejną praktykę otrzymałem w nadleśnictwie Stary Sącz, ale przez znajomych wuja w Ministerstwie Rolnictwa udało mi się zamienić Stary Sącz na Hryniawę. Jeszcze w Worochcie zaprzyjaźniłem się z Michałem Witowskim. Później okazało się, że było to bardzo ważne wydarzenie w moim życiu.

Z Bydgoszczy wyjechałem na praktykę z kilkudniowym opóźnieniem. Nie wiedziałem, że żegnając się z nią na długo, a nawet na zawsze. Przypuszczam, że gdybym tam został, to Ojciec i ja zginęlibyśmy –po wkroczeniu Niemców. Postarał by się już o to Otto Geith, właściciel domu w którym mieszkaliśmy.

Gdy przejeżdżaliśmy przez Śniatyn, wagony były zamykane, ponieważ do Kut jechało się tranzytem przez teren Rumunii. W Kutach udałem się do tartaku, gdzie inż. Mędrak przyjął mnie śniadaniem i postarał się znaleźć jakiś środek transportu do Hryniawy, odległej o 56 km. Bardzo sfatygowanym, odkrytym samochodem dotarłem do Hryniawy po południu (drogi tu były w fatalnym stanie). W nadleśniczówce gospodyni Michała Witowskiego wyznaczyła mi pokój i poczęstowała posiłkiem. Na drugi dzień wybraliśmy się do nadleśnictwa, gdzie poznałem współpracowników: adiunkta inż. Kelera, sekretarza Romaniszyna i skarbnika (nie pamiętam nazwiska). Nadleśnictwo było w większości kawalerskie – pięciu kawalerów i trzech żonatych leśniczych (na Hramitnym, na Jałowiczorze, na Fojniku).

Bardzo podobał mi się sposób urzędowania w nadleśnictwie. Jeśli nie było pracy, to nadleśniczy ze współpracownikami szli nad Czeremosz, który płynął obok, i łowili pstrągi. Okna do biura były otwarte, aby mogli usłyszeć telefon. Nadleśniczy organizował również sesje, na które zjeżdżali się leśniczowie przywożąc ze sobą panie. W części urzędowej (bez pań) załatwiano sprawy służbowe, ale druga część spotkania odbywała się już w dużej

światlicy. Tu spotykali się wszyscy i bawili przy muzyce z płyt gramofonowych do późnych godzin nocnych, posilając się przywiezionymi smakołykami. Na część "artystyczną" przychodzili również podoficerowie służby granicznej z żonami oraz goście z drugiego brzegu Czeremoszu, z Rumunii. Duży, wypchany brunatny niedźwiedź przyglądał się ze sceny zabawie.

W drugiej połowie lipca nadleśniczy zaproponował mi objazd leśnictwa w towarzystwie adiunkta. Z radością przyjąłem tę propozycję. Mieliśmy pojechać konno. (Michał prowadził małe gospodarstwo; miał ładnego konia, świnki, kury, dwa piękne jamniki i foksteriera, oswojoną sarenkę i małego dzika, który biegał za nim do nadleśnictwa i leżał pod biurkiem.

Jechaliśmy wolniutko wzdłuż Czeremoszu, do pierwszego leśnictwa Hostowiec oddalonego o 22 km. Ostatnie – Fojnik – znajdowało się w odległości 32 km. Leśniczówka była pięknie położona na górcie, obok płynął potok Hostowiec, a w dole wił się Czeremosz, do którego potok wpadał. Adiunkt z leśniczym udali się do kancelarii, a ja z aparatem fotograficznym poszedłem na obchód okolicy. Nad potokiem zobaczyłem "Nimfę" w kostiumie kąpielowym. Stała po uda w wodzie i zaplatała długie jasnoblonde włosy. To mi się bardzo podobało. Zacząłem się podkradać i zrobiłem panience zdjęcie. Ale panienka była czujna i zapytała, co ja tu robię? Wyjaśniłem, że przyjechałem tu z adiunktem, a jestem studentem, praktykantem w nadleśnictwie. Poznaliśmy się. Była wesoła, ładna i mocno opalona. Poszliśmy razem do leśniczówki, potem zjedliśmy obiad i spędziliśmy bardzo miły wieczór. I tak spotkałem moją przyszłą żonę, Wandę Kosińską, która przebywała tu na wakacjach u swego ciotecznego brata, Antoniego Boskiego.

Niestety, nie ma Jej już od sześciu lat. Ten fragment mego życia opowiedziałem także mojej córce w Nowym Jorku i ukochanej wnuczce Aurice w jej pięknym domu, otoczonym dziewiczym lasem w Monroe, w stanie Washington.

## **Okres wojenny.**

Ten sielankowy czas wakacyjny został przerwany wybuchem wojny. Poszli na wojnę Boski, Romaniszyn i Witowski. Wanda przeniosła się z Hostowca do nadleśniczówki. Zostaliśmy sami z gospodynią Michała i Waryńskimi na Hramitnym.

3 września radio podało, że Niemcy zajęli Bydgoszcz. Ciężko to przeżyłem w obawie o rodziców. Huculi hardo zaczęli podnosić głowę w miarę, jak wojska polskie ponosiły klęskę. Nie wiedzieliśmy co mamy robić. Ten stan trwał do 17 września, kiedy jak grom z jasnego nieba dotarła do nas



wiadomość o wejściu Armii Czerwonej na nasze wschodnie tereny. Zawsze czułem strach przed bolszewikami.

Dowiedzieliśmy się, że Huculi knują wyrżnięcie wszystkich Polaków w okolicy. Puszczono więc pogłoskę, że Wojsko Polskie będzie wycofywać się do Rumunii przez Hryniawę. To uratowało nam życie – Huculi uciekli do lasu. Przez kilka dni panował spokój. Przenieśliśmy się z Wandą do Waryńskich, gdzie była kupka Polaków. Gdy pogłoska o wojsku polskim okazała się nieprawdziwa, Huculi wrócili z lasu i przejęli władzę. Ustawili powitalną bramę ustrojoną w niebiesko-żółte chorągiewki, potem przyszli uzbrojeni do Waryńskich i kazali nam wrócić do nadleśniczówki. Prowadzili nas z zamiarem zlikwidowania po drodze. Wanda, przeczuwając nieszczęście, tłumaczyła im, że ktoś się o nas zapyta, upomni. W nadleśniczówce znajdowaliśmy się pod strażą. Któregoś dnia Huculi przyszli po mnie, abym poszedł do pracy w lesie. Wanda i tym razem mnie wybroniła. Kazała mi udawać chorego, a ich – znając język ukraiński – potrafiła przekonać.

Pod koniec września przejechał obok nadleśniczówki ciężarowy samochód z krasnoarmiejcami. Był to ich pierwszy patrol. Później dowiedzieliśmy się, że nakazali miejscowym zachowywać się spokojnie i przestrzegać zasady: *Wsie rawnyje – Ukraińcy, Polaki i Jewreje*. Kazali Hucułom zdjąć ukraińskie chorągiewki z powitalnej bramy i zawiesili czerwone.

Na razie ocaliliśmy, ale Wanda doszła do wniosku, że dłużej siedzieć w Hryniawie nie powinniśmy. Rozważaliśmy możliwość przejścia do Rumunii, ale opinia tych co tam poszli i szybko wrócili, była zniechęcająca. Rumuni odbierali rzeczy i oddzielali mężczyzn od kobiet, a to nam młodym i zakochanym nie odpowiadało. Uznaliśmy, że możemy być potrzebni w kraju.

c. d. n.

*Eugeniusz Jaworski*  
*Żagań*

## **Pozostawiliśmy tam ślady polskiego życia**

Wysiedlono nas z ojcowizny, ale pozostawiliśmy tam ślady polskiego życia, pamiątki po pracy naszych ojców, dziadów i pradziadów. Obecnie korzystają z nich "przesiedlaki", jak nazywają nowych mieszkańców miejscowi Ukraińcy.

Pozostał po nas kościół, wybudowany w 1914 roku jako filia parafii zbaraskiej, a przy nim dzwonnica na trzy dzwony, przebudowana w 1935 roku z drewnianej na murowaną. Fundatorką placów pod kościół i plebanię była pani **KRASNOPOLSKA**.

Kościół przetrwał obie wojny, a na pamiątkę po tej pierwszej posiada dwa artyleryjskie pociski, wmurowane przez przedstawiciela 54 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych w Tarnopolu.

W Hrycowcach zamierzano kościół dopiero budować. Zwieziono kamień na fundamenty i inne materiały budowlane, ale wybuch wojny przerwał wszystkie prace.

Pozostała też szkoła, wybudowana jeszcze w 1908 roku pod patronatem Towarzystwa Szkoły Ludowej. Posiadała dwie sale lekcyjne i mieszkanie dla nauczycieli. Przylegał do niej bardzo piękny i zadbane ogród. Była tam także bardzo głęboka studnia, wykonana przez firmę ze Zbaraża.

W tej 4-klasowej szkole uczyły (aż do wybuchu II wojny światowej) siostry zakonne Elżbietanki, które nazywaliśmy "Mateczkami".

W centrum wsi pozostał także Dom Ludowy, wybudowany w 1926 roku. Za moich czasów był ośrodkiem regionalnej kultury obu naszych wiosek- Kretowiec i Hrycowiec. Posiadał salę widowiskową z zapleczem oraz sklep "towarów kolonialnych".

A dziś niestety tak wygląda jego część frontowa. Mieści się tu sklep dla obu wiosek.

Ślady polskie pozostawiliśmy także na cmentarzu, położonym za Kretowcami przy drodze do Zbaraża, założonym wraz z tutejszą parafią. Spoczywają na nim nasi przodkowie. Polskie ślady pozostały także w Hrycowcach. Szkołę wybudowano tu już po I wojnie. W czasie walk sowietów o Tarnopol w kwietniu 1944 r. służyła za szpital wojskowy. Grzebano obok niej zmarłych żołnierzy.

Dziś w szkole tej mieści się "silrada" i klub. A obie nasze wioski połączone zostały w jedną pod nazwą KRETOWCE. Przesiedleni tu Ukraińcy z

Polski nie przywieźli ze sobą zbyt wiele, szczególnie zapasów żywności. Więc rozpoczęły się kradzieże. I chociaż wiele płodów rolnych pozostawiliśmy w ogrodach i na polach do zebrania przez nich, ginęły w gospodarstwach zboże, różne narzędzia i przedmioty. U Klemensa Budzyny ukradziono nawet konia, u Franka Kominka również, a u Warężaczki jałówkę. Ale te ukradzione zwierzęta długo Ukraińcom nie służyły, gdyż kazano im wkrótce oddać cały inwentarz, żywy i martwy, do kolchozu w Stryjówce (w byłym folwarku Małachowskich), któremu podlegały także Kretowce i Hrycowce.

My wyjechaliśmy transportem ze Zbaraża 8 grudnia 1945 r. około godziny 23-ciej. Mroźnym rankiem znaleźliśmy się w Tarnopolu, gdzie nasz transport okradziono. Musieliśmy się bowiem w Tarnopolu zatrzymać, ponieważ trzeba było pogrzebać jednego z naszych mieszkańców. Ks. Kazimierz Klee odprowadził zmarłego na cmentarz. W drodze powrotnej napadli na niego Ukraińcy i obrabowali z kożucha. Powyżej fotografia ks. Klee i b. żołnierza AK M. Gretkiewicza z 1946 r. ale już na ziemiach odzyskanych.

Irena Kotowicz  
Warszawa

## Białe plamy na mapach powiatów woj. tarnopolskiego

Długo, nazbyt długo trwa wypełnianie **białych plam** na mapkach poszczególnych powiatów Ziemi Kresowej, na których bojówki ukraińskich nacjonalistów dopuściły się zbrodni ludobójstwa ludności polskiej w latach II wojny światowej.

Od tamtych lat upłynęło już sporo ponad pół wieku. Ostatni to czas na poruszenie pamięci i sumienia tych, którzy byli świadkami, a ciągle jeszcze milczą. Teraz liczy się już każdy rok, każdy miesiąc, a niekiedy każdy dzień.

Ludzie, których z maltretowane przez zbrodniarzy ciała leżą w tamtej ziemi, w znanych i nieznanymi miejscach pochówków, mają nieprzemijające **prawo** do ujawniania swych imion, okoliczności okrutnej śmierci oraz ich morderców. Na świadkach spoczywa natomiast moralny **obowiązek** ujawniania posiadanych informacji, więcej – mają obowiązek pozyskiwania tych informacji z każdego wiarygodnego źródła. Bowiemy aby dowieść przestępstwa, udowodnić zbrodnię, konieczne są fakty. Inaczej byle kłamca, byle nieuczciwy czy sprzedajny człowiek – obojętnie, swój czy obcy – będzie ludobójstwu zaprzeczał, fałszował i zacierał ślady, na co dowodów nie brakuje.

Z przykrością stwierdzam, że białe plamy na mapach powiatów naszego województwa są nadal liczne. Odwołuję się zatem po raz kolejny do byłych mieszkańców ziemi tarnopolskiej, by uświadomili sobie ten obowiązek względem ofiar, ale także wobec naszej historii i aby ci, którzy dotąd milczeli z jakiegokolwiek powodu, ten grzech zaniechania zmazali jak najszybciej.

Każdą relację dotyczącą ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich odnotowuje skrzętnie Stowarzyszenie Upamiętnienia Zbrodni Ofiar Ukraińskich Nacjonalistów w swym czasopiśmie "Na Rubieży". My zaś na stronach "Głosów Podolan" staramy się – w miarę możliwości – wzbogacać, uzupełniać lub korygować wcześniejsze informacje z terenu woj. tarnopolskiego.

Z wielkim uznaniem należy odnieść się do tych wszystkich ludzi, którzy nie szczędzili czasu i trudu, a także odnowienia bolesnych przeżyć, aby złożyć zeznania przed prokuratorami czy przekazać swe tragiczne wspo-

mnienia różnym wydawnictwom kresowym, by dać świadectwo **prawdzie**. Było ich wielu.

Dziś prezentujemy nowe informacje nadesłane przez naszych Czytelników, a odnoszące się do tamtych okrutnych wydarzeń.

*Eugenia Zamiara  
Churchville N. J. (USA)*

## **Zbrodnia w Pletenicach**

Urodziłam się w 1924 roku w Pletenicach, pow. Przemyślany, woj. tarnopolskie. (W czasie okupacji sowieckiej Pletenice przyłączono do woj. lwowskiego).

Mieszkałam w tej małej miejscowości, gdzie było więcej Rusinów (Ukraińców) niż Polaków, z rodzicami i rodzeństwem. Do roku 1940 wszyscy żyli tu ze sobą w zgodzie, a niektórzy Ukraińcy (będąc grekokatolikami) żenili się z Polkami. Dwie siostry mojej Mamy także wyszły za mąż za Ukraińców, i te rodziny do dziś tam żyją. Mam we Lwowie i okolicy dużo kuzynów, ale koresponduję tylko z jedną krewną, która wystawiła (za posłane jej pieniądze) pomnik na grobie mego zamordowanego Ojca.

Ojciec mój – Władysław Majcher – pochodził z zachodniej części woj. lwowskiego, z Żółtaniec, w Pletenicach nazywano nas “Mazurami”.

Gdy we wrześniu 1939 roku wkroczyli do Polski sowieci, była bieda ale można było jakoś żyć. Natomiast gdy w 1941 r. przyszli Niemcy i obiecali Ukraińcom wolną Ukrainę, zaczęło się mordowanie Polaków, ponieważ Ukraińcy chcieli aby było to państwo wyłącznie dla Ukraińców.

Nieszczęście zaczęło się od Wołynia. Mieliśmy tam ciotkę (siostrę Mamy), która wyszła za mąż za obrońcę Lwowa i w nagrodę za to otrzymał on na Wołyniu sporo ziemi. W 1943 roku nacjonaści ukraińscy spalili mu całe gospodarstwo. Jemu samemu, żonie i obu córkom udało się jakoś uciec, ale syna banderowcy złapali i żywego wrzucili do ognia.

Moi rodzice mieli czworo dzieci: trzy córki i syna. Najstarsza siostra (r. 1913) była już mężatką i mieszkała we Lwowie. Brat (r. 1919) został powołany przez sowieców w 1941 r. do Czerwonej Armii. Potem dostał się do Wojska Polskiego i przez Palestynę dotarł do Włoch, gdzie walczył pod Monte Cassino. Po wojnie był w Anglii, potem wyjechał do Kanady.

24 marca 1944 r. około godz. 4-5 rano przyszli do naszego domu w Pletenicach banderowcy. Pochwycili Ojca, zabili go na miejscu, a całe go-

spodarstwo spalili. Po pożarze pozbierałam kości Ojca, wujowie zbili dla nich małą skrzynkę i zawiozłam ją sankami na cmentarz. Uciekłyśmy z Mamą do siostry we Lwowie. Mama była chorowita i nie wytrzymała tego cierpienia. Zmarła w rok po śmierci Ojca, ale już w Polsce.

W 1953 roku odnalazłyśmy z siostrą naszego brata w Kanadzie. Zaprosił mnie do siebie i podczas tej wizyty poznałam chłopca z Wołynia, który także był w Wojsku Polskim. Całą jego rodzinę sowieci wywieźli na Sybir i tam rodzice zmarli. Starszego brata, już żonatego, nie wywieźli, ale banderowcy zarąbali później siekierami całą rodzinę.

Do grobu mego Ojca włożono ciała jeszcze dwóch Polaków, którzy także zostali spaleni. Były więc w Pletenicach trzy ofiary:

1. Władysław Majcher,
2. N. Podgórski,
3. N. N. – (trzeciego nazwiska nie pamiętam).

*Józef Jarowicki*  
*Wleń*

### **W Czaharach Zbaraskich, pow. Zbaraż**

16 listopada 1943 r., około godz. 20-tej zostali zamordowani przez banderowców następujący Polacy:

1. Mieczysław Kopiec,
2. Kazimierz Słonecki (ur. w 1914 r.),
3. Teofil Mazurkiewicz.

W domu Słoneckiego banderowcy wyrąbali drzwi wejściowe i zastrzelili go w momencie, gdy próbował uciec przez okno. Dwaj pozostali mężczyźni zostali zamordowani w swoich domach, a przed śmiercią byli torturowani.

Zapewne córki Kazimierza Słoneckiego – Anna, ur. w 1930 r. i Renia ur. w 1932 r. – mogłyby dużo więcej powiedzieć na ten temat. Szkoda, że milczą. Mieszkają we wsi Gierczyn, poczta Rębiszów, woj. zielonogórskie.

### **Z ŻAŁOBNEJ KARTY**

Śp. **Anna Maria BAY**

urodziła się 9 czerwca 1921 roku w Pułtusku, na Mazowszu.

Zmarła 9 stycznia 2002 r. w Szpitalu Bielańskim w Warszawie. Związana była mocno emocjonalnie z Ziemią podolską, zwłaszcza z miastem Borszczowem w woj. tarnopolskim, gdzie Ojciec Jej pełnił do września 1939 r. odpowiedzialną funkcję starosty przygranicznego powiatu ze Związkiem Radzieckim. Ona zaś była uczennicą tamtejszego gimnazjum. Podole i Borszczów – to piękny, słoneczny świat Jej młodości.

Anna była od roku 1993 jednym z pierwszych członków naszego Klubu, i to członkiem zaangażowanym w jego sprawy. Służyła radą jego przewodniczącej i pomocą – prowadząc przez wiele lat dziennik korespondencji z czytelnikami, dzieliła z nią radości, troski i rozczarowania.

Odszedł nieoczekiwanie z naszego grona człowiek dobry, szlachetny, solidarny, wierny w przyjaźni, a przy tym bardzo skromny. Z powodu tej ostatniej cechy nie pojawiły się np. w "Głosach" Jej wspomnienia o spotkaniach z interesującymi ludźmi, o ich domach, jakie miała okazję poznać choćby z racji stanowiska Ojca.

Po ucieczce przed sowietami w 1939 r., Anna zatrzymała się z rodzicami w Lublinie. Później zamieszkała w Warszawie, gdzie do przejścia na emeryturę pracowała w Ministerstwie Rolnictwa.

W Jej gościnnym domu na Żoliborzu spędziłam wiele dobrych chwil – na rozmowach, zwierzeniach i wspomnieniach podolskich. Dziękuję Ci za nie Haniu, jak umiem najcieplej.

W ostatniej drodze na Cmentarzu Północnym towarzyszyliśmy Jej spopielonym szczątkom kilkuosobową grupą Podolan w dniu 16 stycznia br.

Bardzo mi Haniu brakuje Twojej zawsze życzliwej obecności. Tym głębiej, im dłużej milczy Twój telefon.

Irena

Na ręce Szanownej pani Janiny Geryszewskiej w Warszawie wyrazy szczerego żalu i współczucia dla rodziny i Przyjaciół śp. Anny

składa

Zarząd Klubu "Podole"

## LISTA OFIARODAWCÓW

### Na działalność związaną z wydawaniem biuletynu:

1. Krystyna Klisińska	Łódź	20.00 zł
2. Franciszek Marcinów	Uszyce	40.00 zł
3. Bronisława Misztak	Warszawa	100.00 zł

4. Jan Ruczyński	Warszawa	31.00 zł
5. Zbigniew Siegel	Warszawa	75.00 zł
6. Z. i E. Śniechowscy	Anglia	60.00 zł
7. Jan Wiśniowski	Bydgoszcz	50.00 zł
8. O. Reginald Wiśniowski	Kraków	30.00 zł

**Na kościół w Białobóżnicy:**

1. Jan Pawszak	Warszawa	100.00 zł
2. Barbara Ruszczyk	Warszawa	20.00 zł
3. Zdzisława Tyszkiewicz	Warszawa	100.00 zł

**Na kościół w Skalacie:**

1. Zbigniew Orszulak	Poznań	150.00 zł
2. Maria i Kazimierz Wojtkowie	Gliwice	200.00 zł

**Na kościół w Tarnopolu:**

1. Karol Malinowski	Warszawa	40.00 zł
---------------------	----------	----------

*Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.*

## SPIS TREŚCI

Wiesław BARCZYK	
Maurycy Goślawski .....	1
Stanisław MUSZYŃSKI	
Mój Czortków muzyczny. Cz. IV .....	3
Marian OKULICZ	
Wspomnienia z Syberii 1939 – 1946 .....	8
Zbigniew TOMASZEWSKI	
Moja droga z Kazachstanu do polskiej szkoły w Miłosnej (Lubomierzu).....	15
Tadeusz SWINECKI	
Nie odnalazłem Puźnik na Podolu. Wspomnienia. Cz. I .....	20



Eugeniusz JAWORSKI	
Pozostawiliśmy tam ślady polskiego życia.....	26
Irena KOTOWICZ	
Białe plamy na mapach powiatów woj. tarnopolskiego .....	28
Eugenia ZAMIARA	
Zbrodnia w Pletenicach .....	29
Józef JAROWICKI	
W Czaharach Zbaraskich, pow. Zbaraż.....	30
Z ŻAŁOBNEJ KARTY.....	30
LISTA OFIARODAWCÓW .....	31